

Zdzisław Gergowicz

PIERWSZE DNI, PIERWSZE LATA (prapoczątki Wydziału Górniczego PWr.)

Pierwszy dzień ... Ileż wyrazu, ileż treści, już to osobistych lub sentymentalnych, już to wielkich, wręcz historycznych, kryje w sobie ta koniunkcja dwóch prostych słów. Pierwszy dzień życia ... pierwszy dzień wiosny ... pierwszy dzień wolności. Ale kryje też w sobie ona niekiedy sporo problemów, bo nie zawsze można, w sposób jednoznaczny i nie budzący wątpliwości, odpowiedzieć sobie na pytanie, który do właściwie dzień był właśnie tym pierwszym. Jakże często przekonuję się o tym obecnie, gdy w miarę niepostrzeżenie i szybko rosnącej liczby przeżytych lat, coraz to chętniej wracam myślami do wydarzeń z przeszłości. Ot, choćby pierwszy dzień wolności. Mam stałe wątpliwości, czy dla mnie, uwięzionego w oblężonym Wrocławiu, był nim dzień 7 maja, kiedy to dowództwo „Festung Breslau” podpisało kapitulację, czy też 10 maja, w którym to dniu zetknąłem się z przybyłą poprzedniego dnia pierwszą grupą reprezentantów Władz Polskich, kierowaną przez inż. Kuligowskiego i prof. Kulczyńskiego. Formalnie rzecz biorąc, należałoby uznać, jako obowiązującą, tę pierwszą datę, lecz doskonale pamiętam, że pełna świadomość niczym nie zagrożonej wolności objawiła mi się, w całym swoim upajającym uroku, dopiero trzy dni później. Powie ktoś, że cóż to za różnica, dwa lub trzy dni. Może rzeczywiście to drobiazg. Gdy jednak ewokuję z pamięci te zdarzenia, o których chcę tu pisać, to gra idzie nie o dni czy nawet miesiące, lecz wręcz o lata. Który bowiem dzień należałoby podnieść do rangi pierwszego dnia Wydziału Górniczego Politechniki Wrocławskiej. Gdybyśmy nawet jako kryterium wzięli pod uwagę względy formalne, to i tak nie uchronilibyśmy się od szeregu wątpliwości. Równie ważkie argumenty przemawiać będą za tym dniem 1968 r., w którym minister Szkolnictwa Wyższego podpisał decyzję o utworzeniu Wydziału Górniczego na Politechnice Wrocławskiej, jak za dniem 1 października 1968r., kiedy to odbyła się pierwsza na nowo powstałym Wydziale inauguracja roku akademickiego 1968/69. Tymczasem dla mnie, związanego od tylu lat z Wydziałem Górniczym węzłami nie tylko formalnymi, lecz ogromnym osobistym sentymentem, wspomniane wyżej dwa dni, to wyłącznie pewne, niewątpliwie znaczące, ewenementy z życia Wydziału, którego historia zaczęła się tworzyć znacznie wcześniej. Natomiast, gdy zastanawiałem się, który to dzień był tym pierwszym, to bez cienia wątpliwości i jakichkolwiek zahamowań przenoszę się myślami do czerwca 1963 r. Był taki w tym miesiącu dzień, który może z pełnym powodzeniem, w moim subiektywnym, rzecz jasna, odczuciu, ubiegać się o miano pierwszego dnia Wydziału, którego te wspomnienia dotyczą. Zanim jednak bliżej wyjaśnię, o który dzień czerwca 1963 r. mi chodzi, chciałbym się zabezpieczyć przed ewentualnym zarzutem braku konsekwencji. Mógłby bowiem ktoś, logicznie rozumujący, a zarazem bardzo skrupulatny, mieć do mnie pretensję, że cofając się tak daleko wstecz, nie cofam się jeszcze dalej, do czasów pierwszych sygnałów, zwiastujących

przyszłe narodziny Górniczego na Politechnice Wrocławskiej. Byłoby w tym rzeczywiście trochę racji, jakkolwiek przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych to raczej prehistoria i nie historia naszego Wydziału. Tym niemniej można przyjąć, że taką znaną datą był dzień, w którym prof. Kisiel wygłosił swój pierwszy wykład na kursie, zorganizowanym przez jego Katedrę dla pracowników przemysłu węgla brunatnego. Równie dobrze mógłby to być dzień, od którego datuje się współpraca z Górnictwem Odkrywkowym młodego wówczas, lecz rokującego duże nadzieje, pracownika nauki, a dziś uczonego wielkiej miary, prof. Hawryłaka. Nie bez szans walczyć by mógł o palmę pierwszeństwa dzień, w którym do ówczesnego Rektora Politechniki Wrocławskiej, prof. Zygmunta Szparkowskiego, zgłosił się dyrektor techniczny Zjednoczenia Przemysłu Węgla Brunatnego, wówczas jeszcze mgr inż. gór. Wincenty Czechowicz, z propozycją utworzenia na Politechnice Wrocławskiej nowego kierunku studiów pod nazwą Górnictwo Odkrywkowe. A może byłby to pewien wiosenny dzień, tym razem już 1963 r. W tym dniu odbył się w Zgorzelcu, w tamtejszym Technikum Górniczym, egzamin kwalifikacyjny dla pracowników Kombinatów Turoszowskiego (Kopalni i Elektrowni), którzy ubiegali się o przyjęcie na studium stacjonarno-zaoczne (coś za nazwy potrafią ludzie wymyślić – najtęższe umysły mogą doznać zawrotu głowy) z zakresu górnictwa odkrywkowego, zorganizowane specjalnie dla nich przez Wrocławską Politechnikę. Myślę że dla każdego z tych dni, a także może jeszcze dla kilku innych, dałoby się bez trudu znaleźć odpowiednie uzasadnienie, nadające temu jednemu, wybranemu, rangę szczególną, historyczną – miano pierwszego dnia. Ja jednak pozostanę przy 1963 r. i przy wspomnianym czerwcowym dniu tegoż roku, a przesłanki, które mnie do tego skłaniają są zarówno subiektywnej, jak obiektywnej, racjonalnej natury. Przesłankę pierwszą można uzasadnić względami formalnymi. Rzecz w tym, że właśnie w czerwcu 1963 r. nowy kierunek nauczania został zalegalizowany uchwałą Rady Wydziału Budownictwa, która powołała Oddział Górniczy przy tym Wydziale. Była to wprawdzie legalizacja trochę na wyrost, bo brak było decyzji Ministra, ale Senat Politechniki Wrocławskiej uchwałą Rady Wydziału Budownictwa zaakceptował, a to już coś znaczyło. Przesłanka druga, też nie pozbawiona uzasadnienia formalnego, lecz już o pewnej subiektywnej wymowie, to fakt powierzenia mi przez Radę Wydziału Budownictwa roli kierownika i organizatora nowo tworzonego Oddziału. Brałem zatem osobiście udział w drobnym na pozór wydarzeniu, które rozegrało się w owym dniu i które w moim odczuciu ten właśnie dzień w znaczący sposób wyeksponowały. Wreszcie powód ostatni, ale moim zdaniem najważniejszy. Otóż w tym wziętym wprost z życia spektaklu, którego scenariusz nakreślił w sposób schematyczny i bardzo ogólny narodziny i pierwsze chwile działalności przyszłego Wydziału Górniczego, pojawiają się na scenie nowi aktorzy – ci najważniejsi. Pojawiają się studenci, a wraz z nimi martwe dotychczas, papierowe schematy scenariusza ożywają. Bo przecież studenci, to najważniejszy element każdej szkoły, to podstawowa tkanka, wnosząca życie, nadająca sens i rację istnienia tejże szkoły. Właśnie studenci w głównej mierze decydują – przekonały mnie

zaś o tym lata spędzone na Wydziale Górniczym, czy uczelnia, bo wyższych uczelni głównie to dotyczy, będzie tętniła życiem, promieniowała inicjatywą i budziła uznanie społeczeństwa, czy też blada, anemiczna i słaba i pogrążona w swoich większych lub wręcz drobnych kłopotach i nieważnych problemikach, toczyć będzie swe życie tylko z tej racji, że w ogólności istnieje.

Na omówienie znaczenia i roli, jaką studenci odegrali na Wydziale lub, ściślej mówiąc, na Oddziale Górnictwa Odkrywkowego, będzie jeszcze okazja później. Sądzę natomiast, że czas najwyższy, bym opisał, to co zdarzyło się w owym, tylekroć przeze mnie wspomnianym czerwcowym dniu. Najpierw zlokalizujmy miejsce akcji. Wydarzyło się to w kierowanym przeze mnie Zakładzie Budownictwa Podziemnego, który to Zakład, będący częścią składową ówczesnej Katedry Mostów, był jednocześnie pierwszą komórką organizacyjną, związaną formalnie z nowo powstałym Oddziałem. W owym czasie Katedra Mostów mieściła się w suterrenach Gmachu Głównego, sąsiadując z jednej strony z barem mlecznym, z drugiej zaś strony z pomieszczeniami Związku Nauczycielstwa Polskiego. Tu właśnie, w lokalu Katedry Mostów, zjawili się owego czerwcowego dnia czterej młodzi ludzie i poprosili mnie o rozmowę. Od słowa do słowa, wyłuszczyli mi pokrótce, o co im chodzi i co mógłbym im w ich zamierzeniach doradzić – a rzecz była co najmniej zaskakująca. Przystawili mi się jako delegaci grupy 21 studentów I roku Wydziału Budownictwa, którzy chcieli by się przenieść na kierunek Górnictwa Odkrywkowego, o utworzeniu którego właśnie się dowiedzieli. Był jednak warunek z ich strony, mianowicie zaliczenie im już wysłuchanego I roku studiów i przyjęcie na rok II Górnictwa. W pierwszej chwili zaskoczony, szybko przyjąłem w stosunku do propozycji stanowisko pozytywne. Zrozumiałem bowiem, jakie stwarza ona szanse nam, organizatorom nowego kierunku nauczania. Po pierwsze, możemy w tym naszym pierwszym roku akademickim 1963/1964 wystartować nie z jednym lecz z dwoma latami studiów. Po drugie, ta grupa, utworzona ze studentów nieprzypadkowych, lecz kierowanych przemyślaną decyzją, a jednocześnie już nieco otrząskanych z życiem uczelni, powinna stanowić niezwykle pozytywny element w nowo tworzącym się stanowisku studentów – górników. Przyszłość zresztą dowiodła, że miałem całkowitą rację. Po trzecie wreszcie, stwarzało to szanse wypuszczenia i przekazania przemysłowi o rok wcześniej, niż to przewidywaliśmy, pierwszych absolwentów Politechniki Wrocławskiej o specjalności Górnictwo Odkrywkowe – a to było niezmiernie ważne zarówno dla nas, organizatorów jak i dla naszej Uczelni. Związane z tym były, rzecz jasna, konkretne trudności. Konieczne było, przede wszystkim, opracowanie dla tej grupy odrębnego programu studiów, uwzględniającego fakt, że pierwszy rok zaliczyli zgodnie z programem Wydziału Budownictwa. Po wtóre, zmuszał to do szybszego kompletowania kadry nauczającej z przedmiotów zawodowych, bo takie już się pojawiały w planie studiów drugiego roku. I wreszcie trzeba było uzyskać zgodę czynników nadrzędnych – a mogło się to okazać przeszkodą nie do pokonania.

Jakkolwiek zdawałem sobie doskonale z tego wszystkie sprawę, dałem młodym ludziom odpowiedź pozytywną, zastrzegając się, oczywiście, że nie jest to odpowiedź ostateczna. Na szczęście dla niech – a może większym stopniu dla mnie – sprawa zakończyła się pomyślnie. Dyrektor Czechowicz (sprawa jego powołania na profesora była w tym czasie w toku) poparł mnie na Radzie Wydziału Budownictwa, a pozytywny wniosek Rady został bez specjalnych oporów zatwierdzony przez Rektora Szparkowskiego i przez Senat. I stało się – Oddział Górnictwa Odkrywkowego miał pierwszych studentów i to studentów drugiego roku. Istniejąc dotychczas na papierze, nagle przybrał realne kształty i zaczął żyć własnym życiem. Otworzyła się przed nim jednocześnie droga, po której krocząc od sukcesu do sukcesu – bo tak rzeczywiście było – osiągnął wytyczony cel., mianowicie nobilitację, po kilku latach działalności w ramach Oddziału, do rangi samodzielnego Wydziału Górniczego. Mógłby ktoś, obdarzony przez naturę wrodzonym krytycyzmem, sceptycznie zapatrywać się na wspomniane mimochodem przeze mnie sukcesy. Gdy jednak wracam myślą do tamtych pierwszych lat, to pamięć kreśli przede mną głównie obrazy takich wydarzeń, które bezsprzecznie zasługują na miano sukcesów. A z kolei na ich tle rysują mi się postacie tych, którzy zesłani przez przyjazny los, sprawili, że te właśnie sukcesy, rzeczywiste, a nie pozorowane, towarzyszyły zarówno narodzinom, jak i późniejszej działalności Górnictwa na naszej

Politechnice.

Krótką wzmiankę o sprzyjającym losie, zawartą w poprzednim zdaniu, można by uznać na zwrot zdawkowy, przeznaczony wyłącznie dla odpowiedniego ubarwienia tekstu. Nic bardziej błędnego. Zwrotu tego użyłem celowo i z pełną świadomością jego realnego sensu, gdyż gdzieś tam, głęboko ukryte, tkwi we mnie przekonanie, że nasze górnictwo zrodziło się pod szczęśliwą gwiazdą, a wyjątkowo łaskawy los towarzyszył mu w jego pierwszych latach. Niestety, po pewnym czasie, na szczęście tyle długim, że Wydział Górniczy zdążył okrzepnąć, gwiazda zbladła, losy się zwichrzyły i utraciły pierwotny blask i barwę – ale to już inna sprawa. Trzeba przy tym przyznać, że uśmiechy łaskawego dla naszego Górnictwa losu były bardzo różnej natury i równie różnej proveniencji. Weźmy choćby, ot, tak, dla przykładu, jeden z wielu pomyślnych dla Górnictwa zbiegów okoliczności. Czyż nie należy uznać za niewiarygodnie szczęśliwe zrządzenie losu, że w tym samym czasie, gdy Oddział Górnictwa Odkrywkowego rozpoczynał swoją normalną działalność, zlikwidowana została Wieczorowa Szkoła Inżynierska. Jej pomieszczenia w gmachu NOT zostały przekazane Oddziałowi, który z dnia na dzień stał się gospodarzem sal wykładowych, sal do ćwiczeń audytoryjnych i laboratoryjnych oraz pomieszczeń dla przyszłych Katedr i Zakładów. W taki sposób ten przypadkowy zbieg okoliczności zlikwidował problem, który – jak zdają sobie doskonale sprawę z tego ci wszyscy, którzy pamiętają sytuację lokalową Politechniki w latach sześćdziesiątych – mógł całkowicie storpedować wszelkie wysiłki, zmierzające do uruchomienia nowego kierunku nauczania. Miało jednak nasze Górnictwo szczęście do ludzi. Miało szczęście do tych, którzy albo się z

nim sami wiązali, albo których to nasze Górnictwo samo wciągnęło, w sposób mniej lub więcej przypadkowy, w swoją orbitę. Dziś, gdy z perspektywy minionych lat analizuję i oceniam tamte pierwsze, tak ważne dla nas dni, to mimo woli stają przede mną postaci i rysują się twarze tych, których zasługi dla rodzącego się i stawiającego pierwsze kroki Oddziału Górnictwa Odkrywkowego trudno było by przecenić. Z racji zajmowanego wówczas stanowiska, przewodzi tym, nakreślonym przez usłużną pamięć postaciom, Rektor Prof. Zygmunt Szparkowski. Przyznam się, że trudno mi sobie wyobrazić lepszego realizatora zadań, które nań spadły w następstwie decyzji o kreowaniu studiów górniczych na Politechnice Wrocławskiej. Trzeba było mieć wówczas nie lada odwagę, by się na coś takiego porywać, bo sytuacja w tym względzie była niezwykle trudna. W Polsce, w szkolnictwie górniczym wszechwładnie panowała wówczas jeszcze Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, ale rosnąca pod jej bokiem coraz bardziej w siłę Politechnika Śląska, zaczynała poważnie zagrażać tej dotychczasowej niepodważalnej dominacji. Z tego powodu w Krakowie wszelkie nowinki w zakresie szkolnictwa górniczego przyjmowane były z ogromną podejrzliwością i starano się je zlikwidować w zarodku. Sam coś mogę o tym powiedzieć, bo osobiście brałem udział w bojach, staczanych w jaskini Lwa, gdzie usilnie starano się mnie przekonać o bezsensowności naszych zamierzeń i beznadziejności naszych usiłowań. Trzeba zatem było mieć odwagę, by rozpocząć grę o górnictwo we Wrocławiu i to odwagę połączoną z ogromnym rozsądkiem, bo sama odwaga mogła przynieść więcej szkody niż pożytku. A taką właśnie osobistą odwagę, sterowaną rozważną oceną rozwoju wydarzeń, ogromnym doświadczeniem życiowym i swoistym, filozoficznym spojrzeniem na świat, wyróżniał się Rektor Szparkowski. Nigdy na przykład nie utracił z miejsca żadnej inicjatywy, dawał jej jedynie czas, by okrzepła, albo umarła śmiercią naturalną. Gdy jednak wytrzymała próbę czasu i okrzepła, to wówczas rzucał na szalę cały swój autorytet, dążąc do jej urzeczywistnienia. Tak właśnie było z Górnictwem na Wrocławskiej Politechnice. Nie byłby jednak w stanie Rektor Szparkowski, nawet wykorzystując pełnię swej rektorskiej władzy, sam doprowadzić do powstania naszego Górnictwa. I tutaj znów zadziałał łaskawy los, wyznaczając mu na towarzysza boju kogoś, kto jak nikt inny do tej roli się nadawał i wyjątkowo pasował do zaistniałej sytuacji. Wszyscy, pamiętający tamte czasy, bez najmniejszego trudu i chwili wahania odgadną, że mam na myśli prof. Wincentego Czechowicza. Jest takie powiedzenie: „Właściwy człowiek na właściwym miejscu”. Otóż to powiedzenie, mimo, że w zasadzie bardzo pozytywne, w odniesieniu do prof. Czechowicza byłoby mdłym, asekuranckim eufemizmem, oddającym tylko część prawdy. W rzeczywistości była to znakomitość w swoim rodzaju, człowiek wyjątkowy właśnie w tym organizacyjnym zakresie działania, jaki mu przyszło spełniać na naszej Politechnice. Największą jego zaletą było to, że zawsze pełen inicjatywy i śmiałych pomysłów, znakomicie potrafił wykorzystać każdy pomyslny zbieg okoliczności i każdy cień nawet szansy, a także wszystkie swoje znajomości i osobiste koneksje, jeśli tylko mogły być pomocne przy realizacji podjętego

zamierzenia.

Co tu z resztą dużo mówić! Przecież to on był inicjatorem powołania górniczego kierunku studiów we Wrocławiu. Jeśli nawet pierwsze motywy, które go skłoniły do działania, były raczej natury osobistej, to przecież efekt końcowy miał walor sukcesu zbiorowego, gdyż złożyły się nań działania nie tylko jego, lecz również określonej grupy ludzi dobrej woli. Wszystko zaczęło się zaś od tego, że przed ówczesnym dyrektorem technicznym Zjednoczenia Przemysłu Węgla Brunatnego stała nieuchronna konieczność przejścia, ze względu na wiek, na tak zwaną górniczą emeryturę. Dla kogoś, tak jeszcze pełnego energii, przyzwyczajonego do czynnego życia i mającego, co tu ukrywać, silne ciągoty dyrektorskie, perspektywa bezczynności, braku odpowiedniej platformy działania, a zwłaszcza brak możliwości dyrygowania ludźmi, była czymś nie do przyjęcia. Jedynym wyjściem było znalezienie sobie nowego, interesującego zajęcia. Doświadczony strateg, a w równej mierze i taktyk życiowy, bardzo szybko znajduje odpowiednie rozwiązanie. Należy się związać z wyższą uczelnią, gdzie limity wiekowe są bardziej tolerancyjne. Aby jednak nowe stanowisko nie było byle jakie, koniecznie jest wygranie tej szansy, jaką stwarza fakt ze Wrocław, z końcem lat pięćdziesiątych, zaczął urastać do rangi nieoficjalnej stolicy polskiego górnictwa odkrywkowego. Tu miały swą siedzibę: Zjednoczenie Przemysłu Węgla Brunatnego, Zjednoczenie Kamieniołomów Drogowych, tu od kilku lat działał COBPGO „Poltegor”, tu mieściły się dyrekcje tak licznych na Dolnym Śląsku kamieniołomów i kopalń surowców mineralnych. W tej sytuacji wręcz narzucała się idea utworzenia na Politechnice Wrocławskiej takiego kierunku studiów, który by odpowiadał zapotrzebowaniu przemysłu. Należy zatem przekonać Władze Uczelni, a jednocześnie wziąć w swe ręce sprawy organizacyjne i sterowanie realizacją tego przedsięwzięcia. Raz powzięty plan zostaje natychmiast uruchomiony, i trzeba tutaj z uznaniem podkreślić, że zostaje zrealizowany znakomicie, wręcz bezbłędnie. Pierwszy sukces, to uzyskanie zgody i obietnicy poparcia nowej inicjatywy, ze strony rektora Szparkowskiego oraz, co niezmiernie ważne, ze strony ówczesnego I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR, dra inż. Tadeusza Porębskiego. To był pierwszy krok, wprawdzie bardzo ważny, ale dopiero pierwszy. Można by teraz długo i dużo pisać, relacjonując dalsze starania, wszelkiego typu zabiegi i wysiłki w celu zwerbowania sojuszników i bezpośrednich współrealizatorów tego, mimo wszystko dość ryzykownego przedsięwzięcia. Powstał by z tego barwny obraz stoczonych batalii i niezliczonych mniejszych potyczek, znaczących sukcesów i chwilowych porażek – myślę jednak, że wszystko to bilansuje efekt końcowy. A efektem tym było utworzenie w 1963 r. na Politechnice Wrocławskiej Oddziału Górnictwa Odkrywkowego, uruchomienie w roku akademickim 1963/64 normalnych zajęć w tym Oddziale, nadanie przez Radę Państwa mgr inż. Wincentemu Czechowiczowi tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego oraz powołanie go w 1965 r. na kierownika Katedry Górnictwa, jednej z trzech, utworzonych wówczas specjalnie dla prowadzenia zajęć na zaczynającym swą działalność górniczym

kierunku

studiów.

Przyznać trzeba że nowo mianowany profesor nie tylko okazał się nad wyraz zdolnym organizatorem, lecz również sprawdził się jako dydaktyk i wychowawca. Przede wszystkim miał duży dar nawiązywania właściwych kontaktów z młodzieżą. Umiał, z jednej strony, narzucić odpowiedni dystans, podkreślający wagę jego profesorskiego autorytetu, z drugiej jednak strony potrafił wytworzyć w swoich bezpośrednich zetknięciach się z młodymi ludźmi atmosferę koleżeńskich – toutes proportions gardees – związków. W dużej mierze pomocna mu w tym była, zdobyta w trakcie wieloletniego kierowania zespołami ludzkimi, typowa dyrektorska pamięć. Dzięki niej znał studentów nie tylko z twarzy, lecz również doskonale pamiętał ich nazwiska i imiona, a także z jakiego środowiska pochodzą i jakie są ich warunki życiowe – a to zawsze działa ujmująco. Zdobył też duże uznanie studentów jako wykładowca. Doskonały fachowiec, typ czystej krwi ruchowca – praktyka, odnosił się z dużą rezerwą, żeby nie powiedzieć podejrzliwością do wszelkich efektów działalności naukowej, zwłaszcza o pewnym posmaku teoretycznym. Uczył zatem studentów zawodu, a oni, uwikłani, jak to zwykle bywa na pierwszym lub drugim roku, rozlicznymi, różnego autoramentu trudnościami, kłopotami i utarczkami z takimi przedmiotami, jak matematyka, fizyka, geometria wykreślna czy mechanika, przyjmowali to z dużym zadowoleniem. To było właśnie to, co do nich najlepiej przemawiało – ta konkretna aplikacja współczesnej techniki w praktyce inżynierskiej, a nie jakieś tam całki i różniczki, teorie względności czy wieloboki sznurowe. Dopiero czas, a wraz z nim swego rodzaju dojrzałość fachowa miały wnieść poprawkę do tego młodzieńczo naiwnego ujęcia istoty rzeczy. Nastąpiło to jednak, jak wspomniałem, po pewnym czasie – jeśli w ogólności nastąpiło – natomiast w okresie swej działalności na uczelni prof. Czechowicz, jako wykładowca i nauczyciel, cieszył się dużym uznaniem i sympatią studentów, mimo nawet tego lub właśnie może dlatego, że był dość wymagający jako egzaminator.

Wspomniałem mimochodem, że prof. Czechowicz potrafił znakomicie robić użytek ze swych znajomości i koneksji osobistych. A miał tych znajomości mnogość wprost niewiarygodną. Odnosiłem nieraz wrażenie, że tak jak każdy zbieracz, pasjonuje się w kolekcjonowaniu ludzi, z którymi choć raz los go zetknął i z którymi nawiązał bardziej stały kontakt. I podobnie, jak rasowy kolekcjoner, te wszystkie swoje znajomości służbowe, towarzyskie lub wręcz przypadkowe odpowiednio klasyfikował, uszeregowując je według wagi, znaczenia, osobistej sympatii, lub przyjaźni, a także, mówiąc bez jakiegokolwiek złośliwości, wedle ich ewentualnej przydatności we właściwym momencie. Tak się złożyło, że i tym razem los uśmiechnął się do naszego Górnictwa, gdyż w tej bogatej kolekcji znalazły się dwie osoby, z którymi prof. Czechowicz znał się od wielu lat i może nie tyle z nimi się przyjaźnił, co cieszył się ich sympatią – a były to osoby, które odegrały pierwszoplanową rolę w polskim górnictwie. Tym właśnie dwóm znakomitym ludziom Wydział Górniczy zawdzięcza, szczerze mówiąc to, że w ogólności istnieje, gdyż głównie

dzięki nim pokonane zostały wszelkie formalne i mniej lub bardziej oficjalne bariery, utrudniające, czy też wręcz uniemożliwiające jego powołanie. Ich zasługi dla Wydziału były tak duże, że portrety tych wspaniałych postaci powinny wisieć na honorowym miejscu w sali posiedzeń Rady Wydziału – gdyby rzecz jasna, Wydział taką salę posiadał. Zacząć wypada od profesora Bolesława Krupińskiego, Pierwszego Górnika PRL, człowieka który w zasadzie decydował o wszystkim co dotyczyło przemysłu wydobywczego w Polsce. W owych latach był prof. Krupiński Przewodniczącym Państwowej Rady Górnictwa oraz dzięki swemu międzynarodowemu autorytetowi, Prezydentem Światowych Kongresów Górniczych, którą to organizację powołał do życia w latach pięćdziesiątych i kierował do końca swych dni.

Tę właśnie znakomitość udało się prof. Czechowiczowi, dzięki znajomości datującej się jeszcze od przedwojennych czasów, zwerbować dla swoich planów. Początkowo poparcie prof. Krupińskiego odbywało się na zasadzie, jak to zwykły mawiać „Wicus coś tam organizuje we Wrocławiu, trzeba mu pomóc”. Później jednak, gdy przemówiły doń przytaczane w tym względzie argumenty, całym swoim autorytetem poparł wszystkie działania, zmierzające do realizacji koncepcji, w pełni przezeń zaakceptowanej. On to, w głównej mierze przełamał pewne opory w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego i w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki, on wymusił na krakowskim środowisku zmianę stanowiska odnośnie do nowej placówki szkolenia górniczego, jemu wreszcie, co tu dużo mówić, zawdzięczał swój tytuł prof. Czechowicz. Tak się, niestety złożyło, że nawał obowiązków, i to obowiązków dużej rangi, nie pozwalał prof. Krupińskiemu na częste odwiedziny Politechniki Wrocławskiej. Jeśli się nie mylę, był gościem Wydziału Górniczego tylko raz lub najwyżej dwa razy, ale jego z dala roztaczana opieka była odczuwalna każdego dnia i dosłownie w każdej godzinie. Często natomiast gościł na naszym Oddziale, a później Wydziale, drugi ze wspomnianych dwóch protektorów, mianowicie ówczesny wiceminister Górnictwa i Energetyki, mgr inż. górń. Franciszek Jopek. Cóż to była za malownicza postać. Z postury, a przede wszystkim fizjonomii, okraszonej sumiastym sarmackim wąsem, stanowił typ polskiego szlagona. W generalskim mundurze górniczym prezentował się znakomicie. Imponujące zwłaszcza wrażenie robił wówczas, gdy w czarnym galowym uniformie, bogato zdobionym złotym szamerunkiem i z torsem szczelnie obwieszonym orderami, medalami i wszelkiego typu odznaczeniami, kroczył na czele orszaku gości honorowych, przybyłych czy to na inaugurację, czy też na Barbórkę wydziałową. A orszak ten, również zresztą prezentujący się imponująco, właśnie dzięki niemu był bardzo liczny. Nie do pomyślenia przecież było, by któryś z dyrektorów zjednoczeń, kopalń, biur i urzędów górniczych Dolnego Śląska, zrezygnował z możliwości spotkania się z ministrem. Również władze uczelni zmuszone były zapewnić ministrowi odpowiednią asystę. W efekcie powstawała sytuacja, w sensie uczelnianym zupełnie wyjątkowa, żeby nie powiedzieć paradoksalna, a wynikało to stąd, że w uroczystościach, organizowanych przez najmłodszy i zarazem najmniejszy wydział,

uczestniczyły takie znakomitości, o jakich inne wydziały nawet nie śmiały marzyć. Jest rzeczą oczywistą, że odbijało się to głośnym echem na Uczelni i stanowiło wspaniałą propagandę, jednocześnie zaś wpływało pobudzająco i bardzo pozytywnie na atmosferę, panującą wśród pracowników i studentów, początkowo Oddziału a później Wydziału Górniczego. Rola, jaką min. Jopek odegrał w życiu Wydziału nie ograniczała się, rzecz jasna, tylko do nadawania splendoru uroczystościom wydziałowym. Była to jedynie jej część zewnętrzna, bardzo spektakularna, ale w istocie rzeczy nie mająca decydującego wpływu na losy naszego Górnictwa. Znacznie ważniejsze natomiast znaczenie miała jego działalność, której szczegóły były raczej nieznanne szerszemu ogółowi, ale której niezwykle pozytywne następstwa dawały się odczuć na każdym kroku. Był on rzecznikiem naszych spraw i obrońcą naszych interesów na forum Ministerstwa Górnictwa i on to, w efekcie końcowym, doprowadził do akceptacji przez ten resort górniczych studiów na Politechnice Wrocławskiej. On sam z resztą miał w tej sprawie decydujący chyba głos, gdyż odpowiedzialny, w ramach Resortu, za wszystko, co wiązało się z górnictwem odkrywkowym, dźmierzył w swoich rękach również losy szkolnictwa, związanego z tą gałęzią górnictwa. Powstanie na Politechnice Wrocławskiej Oddziału Górnictwa Odkrywkowego na pewno oceniał jako sytuację wyjątkowo korzystną. Obojętne zresztą, jak było rzeczywiście, faktem jest, że nasz wydział zawdzięcza mu wyjątkowo dużo. Chciałbym jednak jeszcze raz wrócić, choćby na krótko, do wspomnianych uroczystości wydziałowych, a dwie są tego przyczyny, obie moim zdaniem niezmiernie ważne. Pierwsza wiąże się z dyrektorami instytucji i jednostek górniczych Dolnego Śląska. Wspomniałem uprzednio, że uczestniczyli oni w imprezach wydziałowych głównie ze względu na min. Jopka – i można by to odczytać w sposób dla nich krzywdzący. Oczywiście, obecność ministra działała na wszystkich dyrektorów mobilizująco, ale ich kontakty z Politechniką Wrocławską nie były tylko od święta i sprowadzały się jedynie do okazjonalnych wystąpień w galowych mundurach. Wprost przeciwnie, starali się, by ich związki z naszą Uczelnią, a przede wszystkim z naszym Górnictwem, miały charakter stały i możliwie bliski. Rzecz przy tym ciekawa i warta poświęcenia jej paru słów. Otóż prawie wszyscy oni byli absolwentami Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i bardzo z tego dumni, darzyli tę swoją macierzystą uczelnię ogromnym sentymentem. Widocznie jednak wieloletnia praca na Dolnym Śląsku i odpowiedzialna rola, jaką przyszło im odgrywać w górnictwie tego regionu, wyzwoliła w nich poczucie swoistego patriotyzmu lokalnego. Uznali zatem, że powinni nad powstałym we Wrocławiu Oddziałem Górnictwa Odkrywkowego roztoczyć opiekę, patronować mu i pomagać w trudnych chwilach. Obserwowali pilnie losy naszego Górnictwa i ingerowali w odpowiednich momentach, nie szczędząc ani wysiłków ani tym bardziej pieniędzy. Wielu z nich zresztą pozostało wiernych Politechnice Wrocławskiej do dzisiejszego dnia. Najlepszym tego przykładem może być Dyrektor Naczelny „Poltegoru”, dr inż. Henryk Turała, stojący obecnie, jako Przewodniczący, na czele Rady Społecznej naszej Uczelni. Drugi powód mego odwołania się do uroczystości wydziałowych ma związek z gośćmi

zagranicznymi. Tak się bowiem złożyło, że poczynając już od pierwszej naszej Barbórki, stale uczestniczyli w uroczystościach górniczych, a także brali udział przedstawiciele Akademii Górniczej we Freibergu – pierwszej, jak to z dumą podkreślał prof. Czechowicz, uczelni górniczej w świecie. Wszystko zaczęło się bardzo prozaicznie i zupełnie przypadkowo. Któregoś lata prof. Czechowicz spotkał na wakacjach turystę z NRD, którym jak się potem okazało, był prof. dr hab. inż. Klaus Strzodka z Akademii we Freibergu. Od słowa do słowa, obaj panowie stwierdzili, że właściwie znają się od bardzo dawna, gdyż prof. Czechowicz, jako młody górnik, zaczynający swą karierę zawodową, miał okazję zetknąć się z ojcem prof. Strzodka, owym czasie dyrektorem jednej z kopalń w Gwarectwie Rybnickim. Przypadkowe spotkanie zamieniło się z czasem w bliższą znajomość, którą prof. Czechowicz swoim zwyczajem wykorzystał z chwilą rozpoczęcia działalności na Wrocławskiej Politechnice. Początkowo sprowadzało się to do kontaktów, polegających na stałym udziale gości z Freibergu w uroczystościach wydziałowych. Była to zwykle dość spora grupka osób, której przewodzili profesorowie: Härtig i Strzodka. Rychło jednak nawiązana została ściślejsza i bardziej efektywna współpraca naukowa między obiema uczelniami, która z resztą, trwa po dziś dzień, przynosząc pozytywne rezultaty. Głównym rzecznikiem tej współpracy był i jest w dalszym ciągu prof. Strzodka, wielki przyjaciel i częsty gość naszego Wydziału. Nawet wówczas, gdy pełniąc odpowiedzialną funkcję Rektora Akademii we Freibergu, był nad miarę obciążony różnymi obowiązkami, znajdował czas na regularne, tradycyjne odwiedziny. Ocenione to zostało z resztą niezwykle wysoko przez naszą Uczelnię, co znalazło swój wyraz w uchwale Senatu Politechniki Wrocławskiej, nadającej prof. Klausowi Strzodce godność doktora honoris causa. A tak na marginesie całej tej historii wart podkreślenia jest fakt, że pierwsza zaakceptowała pojawienie się nowego ośrodka dydaktycznego i naukowego na mapie uczelni górniczych bogata w wieloletnią tradycję uczelnia zagraniczna, a dopiero po niej zrobiły to nasze krajowe. To wszystko, o czym była dotychczas mowa, dotyczyło osób, którym Wydział wiele zawdzięcza, ale których działalność i wynikające stąd zasługi dla naszego górnictwa mieściły się w sferze formalno-prawnej lub lapidarniej ją określając, organizacyjnej. Oni to bowiem w głównej mierze spowodowali, że kierunek górniczy na Politechnice Wrocławskiej ma oficjalny status. Wiadomo jednak że pozycja jaką zajmuje w świecie nauki i ogólności w życiu jakakolwiek placówka szkolnictwa wyższego, nie zależy od papierkowej decyzji najwyższych nawet decydentów, lecz od poziomu naukowego jaki sobą reprezentuje. Było zatem rzeczą oczywistą, że sprawa tego poziomu i walorów merytorycznych oraz rangi, jaką w życiu naukowym nowo powstały Oddział Górnictwa Odkrywkowego zdoła osiągnąć w pierwszych latach swego istnienia, zadecydują o jego dalszych losach. I znów wypada mi wrócić do wypowiedzianego już wcześniej, banalnego być może, lecz znakomicie charakteryzującego ówczesną sytuację, stwierdzenia o dobrej gwiazdzie, która towarzyszyła narodzinom Oddziału. Oceniając bowiem wysoko, bo tak rzeczywiście było,

jego pozycję, na jakiej potrafił się on ulokować już w pierwszych latach swojego istnienia, trzeba jednocześnie stwierdzić, że złożyło się na to wiele wyjątkowo szczęśliwych zbiegów okoliczności. Tylko przypadek przecież sprawił, że właśnie na Politechnice Wrocławskiej i właśnie wtedy działał prof. dr inż. Igor Kisiel, uczony światowej miary, jeden z twórców polskiej geotechniki. Związany od pewnego czasu z górnictwem odkrywkowym, gdyż kopalnie węgla brunatnego były dlań wymarzoną poligonem badawczym, nadał Oddziałowi, któremu w jakimś stopniu patronował, z miejsca i prawie automatycznie, rangę odpowiednią do swego autorytetu. Również szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że w owym czasie prof. dr hab. inż. Henryk Hawrylak wychodził stopniowo na pierwszą pozycję w kraju w dziedzinie maszyn i urządzeń górniczych. Obejmując wraz z grupą swoich najbliższych współpracowników, szkolenie naszych studentów w zakresie maszyn i urządzeń górniczych, przyczynił się waleśnie do wzrostu znaczenia Oddziału, jako placówki naukowej i dydaktycznej. Nie było też rzeczą obojętną dla Oddziału, że na Politechnice Wrocławskiej działał jeszcze prof. Błażej Roga, światowej sławy uczony i uznany autorytet w dziedzinie karbochemii i że jego uczeń, prof. dr hab. inż. Kazimierz Tomków mógł przejąć na siebie kształcenie studentów Oddziału w zakresie chemii. Sprawą przypadku było, że na Wydziale Elektrycznym pracował doc. dr inż. Włodzimierz Gogolewski, który jak się okazało był znakomitym specjalistą od elektrycznych urządzeń górniczych i mógł tym samym oddać duże usługi Oddziałowi, jeśli chodzi o dydaktykę. Podobnie miała się sprawa z prof. dr hab. inż. Mieczysławem Napierałą, uznanym w górnictwie autorytetem w sprawach związanych z ekonomiką i zarządzaniem przedsiębiorstwami górniczymi. Swojej szczęśliwej gwiazdzie zawdzięczał Oddział to, że dla niego zrezygnowali ze świetnie zapowiadającej się kariery bezpośrednio w przemyśle dzisiejsi profesorowie: prof. dr hab. inż. Tadeusz Żur i prof. dr hab. inż. Sewer Wiśniewski. Do miejscowych doszli znakomici pedagodzy, a zarazem liczące się autorytety naukowe spoza Wrocławia: prof. K. Maślankiewicz, prof. H. Bystron, prof. J. Ślebodziński. Przyciągnięty rozchodzącymi się szybko wiadomościami o rozwijającym się nad podziw Oddziale Górnictwa Odkrywkowego, przeniósł się AGH na Politechnikę Wrocławską doc. Stanisław Sobolewski, świetny fachowiec w dziedzinie odkrywkowej eksploatacji złóż surowców mineralnych – w latach późniejszych drugi z kolei Dziekan Wydziału Górniczego. Można by jeszcze, wspominając tamte lata, przywołać z pamięci wiele nazwisk i postaci z nimi związanych – tych osób, które włączając się czynnie do życia Oddziału, swym indywidualnym autorytetem naukowym i zawodowym wspólnie wznosiły i umacniały jego pozycję zarówno dydaktyczną, jak i naukową. I jakbyśmy tej pozycji nie oceniali, to fakt pozostaje faktem, że nowo utworzony kierunek studiów nie miał w zasadzie specjalnych kłopotów z katedrą nauczającą i obsadą zajęć z poszczególnych przedmiotów, nawet tych najbardziej specjalistycznych. Był to niewątpliwie swoistego rodzaju fenomen, w który dziś trudno uwierzyć – ale tak było w owych latach. Przypadek również sprawił – znów ten szczęśliwy zbieg okoliczności – że Oddział nie miał

żadnych kłopotów z obsadą niezwykle ważnej komórki organizacyjnej, jaką jest na każdym Wydziale sekretariat. Co uważniejszy Czytelnik tych moich wspomnień elukubracji zapamiętał zapewne epizod, w którym jest mowa o przyjęciu przez Oddział pomieszczeń po Wieczorowej Szkole Inżynierskiej w gmachu NOT. Otóż wraz z pomieszczeniami tejsze szkoły odziedziczyliśmy też sekretariat w pełnym składzie personalnym. Pomijając już sam fakt, że w ten sposób odpadł Oddziałowi poważny kłopot z wyszukaniem odpowiedniej obsady osobowej dla własnego sekretariatu – Oddział był usamodzielniony administracyjnie – ta przypadkowa scheda okazała się cenniejsza niż ktokolwiek mógłby przypuszczać lub sobie wymarzyć. Rzecz w tym, że przyjęte w spadku po WSI osoby były, po pierwsze, już obeznane ze sposobem pracy poszczególnych agend i jednostek administracyjnych Politechniki, po drugie zaś wprowadzone w specyfikę pracy ze studentami, a jest to sprawa niezmiernie ważna, jeśli chodzi o sekretariaty wydziałowe. Po trzecie wreszcie, potrafiły wypełniać swe zadania bardzo rzetelnie i z dużym osobistym zaangażowaniem się w ich realizację. Ogromna w tym zasługa, przede wszystkim, kierowniczkii sekretariatu, p. Ady Pietrusiewicz, późniejszej długoletniej dziekanki, jak to się zwykło mówić, Oddziału, a następnie Wydziału Górniczego. Przyznać trzeba, że wręcz idealnie nadawała się ona do pełnienia roli, jaka jej w udziale przypadła. Dzięki wielkiej wrodzonej kulturze i dużemu urokowi osobistemu, rozsądkowi, rzetelności i komunikatywności w zetknięciu się z ludźmi, zawsze opanowana i pogodna, potrafiła znakomicie sterować pracą sekretariatu i to pracą w wyjątkowo sympatycznej atmosferze. Była nieocenionym pomocnikiem dziekana. Mogę chyba coś o tym powiedzieć, gdyż pracowałem z p. Adą bez mała dziewięć lat, naprzód jako kierownik Oddziału, a później, od 1968 r., jako dziekan Wydziału. Jakże często zasięgałem jej rady, zwłaszcza w delikatnych, czysto ludzkich sprawach studentów, i nigdy się nie zawiodłem, gdyż orientowała się prawie bezbłędnie w życiu Oddziału. Znała wszystkich studentów z imienia i nazwiska, wiedziała skąd pochodzą, jaka jest ich sytuacja życiowa i jakie mają kłopoty – często nawet te bardzo osobiste. Była całym sercem oddana swemu Oddziałowi, a przede wszystkim studentom. Opiekowała się nimi, prawie że matkowała wychowując, radząc i jakże często strofując, ale gdy doszła do wniosku, że któremuś z nich dzieje się jakaś krzywda, potrafiła walczyć z odwagą lwicy w jego sprawie. Była naprawdę znakomitą dziekanką i taką na pewno zachowała się w pamięci zarówno pracowników Oddziału czy też Wydziału, jak i w pamięci studentów. Wspomniałem już, przy jakiejś okazji, że Oddział, podobnie z resztą jak Wydział, był w skali Uczelni, jednostką organizacyjną liczebnie bardzo małą, a ściśle mówiąc najmniejszą. Co rok rekrutowano na pierwszy rok studiów około 60 studentów, podczas gdy były wydziały, gdzie liczba nowo przyjętych sięgała 200, a nawet więcej osób. Była zatem wyjątkowa szansa, by taka mała zbiorowość stała się zupełnie niewidoczna i utonęła w bez mała 10-tysięcznej społeczności studenckiej naszej Politechniki, a Oddział został całkowicie zdominowany przez pozostałe, duże, okrzepłe i bogate w wieloletnią tradycję wydziały. Tymczasem wbrew takim pesymistycznym prognozom, wszystko potoczyło się inaczej, a nawet można powiedzieć, że

wydarzyła się rzecz wręcz niesłychana. Ten nowo narodzony malec zaczął robić tyle szumu wokół siebie, że głośno było o nim na całej Politechnice. I nie był to nieświadomy wrzask niemowlęcia ani płacz rozkapryszonego dzieciaka, lecz przemyślane głośne sygnały, różnego zresztą rodzaju i wyrazu, donoszące wszem i wobec, że na naszej Uczelni Górnictwo nie tylko istnieje, lecz również świetnie się rozwija. Tę znakomitą, a jednocześnie raczej nieoczekiwaną reklamę Oddział zawdzięczał w głównej mierze swoim studentom. A przyznać trzeba, że podobnie, jak we wszystkich poprzednich epizodach, o których już opowiedziałem, tak i w odniesieniu do studentów szczęście wiernie Oddziałowi towarzyszyło. Nie chcę, zastrzegam się, przez to powiedzieć, że studia górnicze wybierali sami uzdolnieni chłopcy lub dziewczęta – na każdym roku zawsze pojawiało się kilka. Nic z tych rzeczy. Nowo wstępujący reprezentowali na egzaminach wstępnych typowy średni poziom. Zdarzali się oczywiście, wśród nich bardzo uzdolnieni, ale ogólne kryterium dopuszczeniowe nie było zbyt wysokie. Stawiało ono, np. znacznie niższe wymagania niż na Elektronice, która stawała się wówczas bardzo modna i tłumy kandydatów ubiegały się o przyjęcie na ten kierunek. Tam można, a nawet trzeba było przeprowadzić ostrą selekcję, ale na Górnictwie, gdzie zwykle na jedno miejsce przypadało niespełna dwóch kandydatów, stawiane im warunki musiały być, siłą rzeczy łagodniejsze. Jak to już nieraz stwierdzono, egzaminy wstępne nie mówią wiele o dalszych losach przyjętych na ich podstawie studentów. I rzeczywiście okazało się, że nowi nasi studenci, zaliczani początkowo do klasy średniaków, spisywali się w trakcie studiów wyjątkowo dobrze. Odnosi się to przede wszystkim do kilku pierwszych roczników, które cechowało niezwykle rzetelne podejście do studiów, poważne traktowanie swoich obowiązków, zdyscyplinowanie, i co było niezmiernie ważne, zaufanie do swoich nauczycieli. Wyraźnie się wyczuwało, że chcieli rzeczywiście się czegoś nauczyć; dlatego też, między innymi proces dydaktyczny przebiegał na Oddziale wyjątkowo sprawnie. Były oczywiście rozmaite wpadki, bo gdzie ich nie ma i były też prawie legendarne przedmioty progowe, lecz nie zawsze winą za ich wystąpienie należało obarczać tylko studentów. Co tu zresztą dużo mówić – byli to naprawdę dobrzy studenci i życzyć by sobie należało, by tacy dzisiaj również studiowali na naszym Wydziale. Jeśli oceniłem naszych studentów, biorąc pod uwagę ich efekty w nauce, jako dobrych, to z racji ich aktywności w życiu studenckim pozalekcyjnym muszę im przyznać, czy chcę czy nie chcę, ocenę zupełnie wyjątkowo wysoką. To wszystko co działała ta nieliczna zbiorowość studencka w tych pierwszych latach historii Oddziału i Wydziału, było rzeczywistym fenomenem na skalę szkoły i nie tylko szkoły; fenomenem wręcz niewiarygodnym, jeśli się doń przyłoży miarkę dzisiejszych czasów. Trudno mi dziś powiedzieć, gdzie kryło się źródło tej nieprawdopodobnej aktywności. Może działał tutaj jakiś swoisty „genius loci”, wynikający ze specyficznego rodzaju studiów, a może przyczyna kryła się właśnie w tym, że była to tak mała liczbowo społeczność. Podobno – nieraz mi o tym mówiono – ludzie nikłego wzrostu są wyjątkowo ambitni, wyznaczają sobie cele niezwykle wysokie i podejmują się przedsięwzięć

nawet ponad ich siły; są przy tym bardzo czuli na punkcie swego autorytetu i o ten autorytet są gotowi walczyć do upadłego. Niestety, trudno mi osobiście na ten temat się wypowiadać, ale faktem jest, że pełna pasji działalność tej nielicznej stosunkowo grupy studenckiej, cechującej się wciąż niezaspokojoną ambicją, opinię potwierdzały w sposób jednoznaczny. Jak było rzeczywiście – nie wiem. Wiem natomiast, że moi studenci walczyli o palmę pierwszeństwa gdzie tylko się dało: w sporcie, turystyce, życiu kulturalnym i społecznym szkoły; przede wszystkim starali się, w sposób jak najbardziej okazały, organizować Dni Górnika. Jakże wspaniałe były te Oddziałowe Barbórki ! Tradycyjny „Skok przez skórę” miał scenografię imponującą i bezbłędne wykonanie. I znów przychylny los sprawił, że tenor Opery Wrocławskiej był z zawodu górnikiem. Dr inż. gór. Janusz Zipser tworzył postać Lisa Majora w sposób nieosiągalny dla lisów majorów z AGH czy jakichś innych środowisk górniczych. Przepiękną oprawę skoku tworzyli goście balowi, gdyż po tradycyjnym pasowaniu na górników, odbywał się bal. Był to bal co się zowie, bal na ponad tysiąc osób, bal-ewenement najwyższej rangi dla całego miasta. Wrocławski „high-life” w komplecie walczył zaciekle o karty wstępu, używając w tym celu wszelkiego rodzaju podchodów i wykorzystując wszystkie możliwe dojścia do organizatorów. Do dziś jest dla mnie zagadką, jak ta nieliczna grupa studentów potrafiła zorganizować salę, bufet, załatwić orkiestrę, zrealizować wspaniałe dekoracje, jak dała sobie radę z drukiem zaproszeń i operacjami finansowymi na kwoty wręcz ogromne, jak na ich studenckie kieszenie. Gdybym nie był tego naocznym świadkiem, nigdy bym w to nie uwierzył. Pomagali, rzecz jasna, w tym przedsięwzięciu pracownicy Oddziału, a w pierwszym rzędzie prof. Czechowicz, główny zresztą inicjator i inspirator tych imprez, lecz mimo wszystko było to dzieło studenckich rąk i im należy przypisać wszystkie sukcesy. Weźmy z kolei inny przykład, a zarazem wyjątkowo efektowny sukces naszych studentów. Już w pierwszym roku istnienia Oddziału postanowili zorganizować chór górniczy, potrzebny im zresztą do uświetniania uroczystości barbórkowych. Zaangażowali dyrygenta, p Mariana Zalegę, nauczyciela śpiewu w Szkole Podstawowej nr 46, a że chórzystów górników było raczej mało, zdecydowali wspólnie z dyrygentem, iż będą śpiewać wspólnie z chórem dziecięcym wspomnianej szkoły. W ten sposób powstał dziecięco-męski Chór Górniczy Oddziału Górnictwa Odkrywkowego. Występowali przy każdej okazji, śpiewali bardzo ładnie i równie ładnie się prezentowali. Wręcz wzruszająco wyglądali ci chłopcy, którym wąż sypał się już bujnie pod nosem, ubrani w galowe mundury górnicze, i te w odświętnych szkolnych mundurkach, mniej więcej dziesięcioletnie dziewczuszki, zapatrzona zresztą, jak w tęczę, w swych kolegów po śpiewaczej profesji. Chór istnieje do dziś, tyle że jest to teraz chór Politechniki Wrocławskiej, lecz zachował dalej nazwę – górniczy. Z biegiem lat zmieniała się jego obsada – chłopcy odchodzili kolejno do pracy w przemyśle, dziewczuszki wyrosły i same mają już teraz dzieci. Niektóre z nich pozostały jednak wierne chórowi i śpiewają w nim nadal, gdyż jest to już obecnie chór mieszany, żeńsko-męski. Wierni chórowi pozostali również niektórzy chłopcy, tylko że są to już teraz poważni pracownicy naukowcy Politechniki. Chór

jest znany ze swych występów nie tylko w kraju, lecz również za granicą, gdyż śpiewał w wielu krajach, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie. Można by przytoczyć jeszcze wiele innych przykładów żywotności Oddziału i jego studentów. A więc to, że Wydział Górniczy jest jedynym wydziałem na Politechnice, który ma własny sztandar, albo to, że studenci mają swoje galowe mundury itd. itd. – wręcz bez końca. Trwało by to jednak zbyt długo. Chciałbym tylko powiedzieć, kończąc te moje wspomnienia o studentach, że zachowałem tych moich ówczesnych podopiecznych we wdzięcznej pamięci i wspominam ich z dużym sentymentem, bo bardzo mi w mojej pracy pomogli. Jakże często wracam myślą do tych dni naszych wspólnych sukcesów, ale też i do dni, malowanych ciemnymi barwami – bo i takie się zdarzały. Nigdy nie zapomnę marca 1968 r., miesiąca, który pokazał, jak wspaniała mamy młodzież i który tej młodzieży przyniósł równocześnie bolesne rozczarowanie i nieraz osobiste tragedie. Nigdy nie zniknie z mej pamięci uczucie kompletnej bezradności, przygniatające mnie bezgranicznie wówczas, gdy odebrano mi jakąkolwiek szansę, by tych moich studentów uchronić przed rozczarowaniem, a tym bardziej obronić przed następstwami ich źle widzianego entuzjazmu łatwowiernej młodości. Niestety, czas nie wszystkie rany potrafi zaleczyć całkowicie. Biegnie za to ten czas nieubłaganie i równie niezmiennie, jak szybko odlicza dni, miesiące, lata. Od 1968 r., a więc od roku w którym Oddział otrzymał status Wydziału Górniczego minęło już 20 lat, a do mego czerwca 1963 r. ćwierć wieku. Ćwierć wieku, to interwał czasowy, wręcz zmuszający do dokonania jakiegoś podsumowania. Nie będę tego robił, bo ani nie czuje się do tego upoważniony, ani też nie był to cel moich wspominek. Dla mnie wystarczy, że Wydział Górniczy istnieje, że przebrnął przez próbę czasu, przetrwał niektóre ciężkie chwile i może wyszedł z nich z pewnymi stratami, ale przecież działa normalnie, w miarę swych aktualnych możliwości. Jeśli nawet czasem jest coś nie tak, jak być powinno, to zawsze mam nadzieję, iż wszystko się poprawi. Bo nadziei nigdy nie należy tracić, gdyż historia się porusza ruchem wahadłowym i po latach chudych zawsze następują owe biblijne lata tłuste. Ta nadzieja tkwi zresztą w tradycji naszej – i nie tylko naszej – Uczelni i znajduje co roku swój oficjalny wyraz. Każdego października Rektor, zamykając uroczystości inauguracji nowego roku akademickiego, wygłasza tradycyjną, sakramentalną formułkę: „Quod bonum, felix faustumque sit”. To rektorskie życzenie i zawarta w nim nadzieja skierowane jest do całej, objętej jego władzą, Uczelni, a zatem również do naszego Wydziału. I niczego bym tak nie pragnął, a wraz ze mną ci wszyscy, którym dobro Wydziału Górniczego Politechniki Wrocławskiej leży na sercu, by ta nadzieja się zrealizowała i wyrażające ją życzenie stało się faktem. By to wszystko, co może ważyć na losach tego Wydziału i decydować o jego powodzeniu i pozycji w społeczeństwie i w nauce, było dobre, szczęśliwe i pomyślne.

Wrocław, kwiecień 1988 r.